

Niewydarzone tournée

Pewien Hubert, wykształcony historyk, od ponad dwudziestu pięciu lat pracował w archiwum w Cieplicach Śląskich-Zdroju. Zanurzał się w księgi prawnokarne, roztrząsał problemy języka staro-cerkiewno-słowiańskiego i górnołużyckiego. Nierzadko też, znużony poheideggerowską hermeneutyką, czytał o prawierówniach.

Na co dzień był małomówny i mało towarzyski, znany z nicniemówienia. Któregoś dnia powynurzał się jednak staremu druhowi, że marzy, by zniknąć na chwilę z przyprószonych kurzem korytarzy pełnych półtorawiecznych inkunabułów. Ten żgnął go palcem pod żebro i wykrzyknął: Jedź do Krainy Tysiąca Jezior! I tak oto Hubert, napiwszy się zawczasu żętycy i najadłszy bundzu, których na pewno nie ma w Rucianem-Nidzie ani w Orzyszu, znalazł się na Pojezierzu Mazurskim.

Jak jakiś nowobogacki wynajął jacht „Chimera Północy” ze sternikiem i kucharzem w jednej osobie. Jacht był średnio wygodny, a sternik okazał się arcyłgarzem, bo po prawdzie dobrze sterował, ale superkucharzem nie był. Jedli więc półsurową pizzę i nie al dente spaghetti. Nie minęła półczwarta rejsu, jak Hubert zaczął w duchu kucharzowi złorzeczyć: Ejże, ty nienazarty parzygnacie! Dałżebyś w końcu spróbować czegoś wysokobiałkowego! Niechby jakiś stek małokrwisty, niechby niemięsna prażucha czy długo warzona polewka z jarmużu! Dosmaczyłbyś jagodami ostrężyny, ozdobił kwiatami surfinii, dorzucił szalwii, marchwi, rzeżuchy. Tylko bez małowartościowej kohlerii, bobyśmy się potruli!

Taki to pseudobohaterski dialog wewnętrzny prowadził ten niby-obieżyświat. Nagle, jakby z zaświatów, a na pewno zza granicy rozsądku, usłyszał półdrwiący głos: A pamiętasz Szczecin, tę Wenecję Północy? Chciałbyś ją znowuż przemierzyć wzdłuż i wszerz, odwiedzić swoją Alma Mater świętującą 40-lecie? Mógłbyś też wpaść do Książnicy Pomorskiej, posiedzieć tête-à-tête z miłą bibliotekarką, pół boginią, pół strażniczką strzegącą starodruków. Chciałbyś?

Oj, tak, westchnął rzewliwie Hubert, do starodruków tobym chciał...